

BADANIA I ANALIZY

O badaniach edukacyjnych słów kilka

z prof. Jackiem Pyżalskim rozmawia Małgorzata Bukowska-Ulatowska,
nauczyciel-konsultant PCEN ds. edukacji języków obcych

Małgorzata Bukowska-Ulatowska: Panie Profesorze, kiedy przyglądam się niektórym rozwiązaniom systemowym wprowadzanym w oświacie na szczeblu krajowym czy lokalnym, odnoszę wrażenie, że nie uwzględniają one aktualnego stanu wiedzy o tym, co sprzyja osiągnięciu pozytywnych efektów w edukacji. Zbliżone refleksje mam też czasem po obserwacji lekcji czy rozmowie z nauczycielem albo dyrektorem szkoły na temat preferowanych rozwiązań organizacyjnych lub dydaktycznych. Czy Pan Profesor miewa podobne spostrzeżenia?

Jacek Pyżalski: Tak, chyba wszyscy mają takie doświadczenia. Czasami bywa tak, że świat akademicki, który diagnozuje różnego rodzaju problemy metodami naukowymi, buduje modele itp., nie spotyka się ze światem praktyki. Dość często słyszę, że to są dwa odmienne światy: wieża z kości słoniowej oraz prawdziwe życie. I muszę powiedzieć, że rzeczywiście tak bywa. Spotyka się badaczy, którzy są mocno odcięci od rzeczywistości i budują różnego rodzaju modele czy prowadzą badania bez komunikacji ze środowiskiem, które badają. Ale bywa też, że osoby krytykujące nieprzydatność wiedzy naukowej czy wypracowanych nowych rozwiązań tak naprawdę ich nie znają. Mają co prawda na ich temat jakieś zdanie, ale zupełnie ich nie poznali.

Mnie osobiście bliskie są słowa Kurta Lewina – jednego z klasyków psychologii społecznej, urodzonego na terenach obecnej Polski – który powiedział, że nie ma nic bardziej praktycznego niż dobra teoria. Od wielu lat staram się pracować tak, aby lokować teorię i praktykę po dwóch stronach tej samej monety. Teoria to orzeł, praktyka – reszka, zatem powinny być częścią jednej całości.

Jedną rzeczą jest wypracowanie sensownej diagnozy, a drugą – spotkanie się autorów tej diagnozy z praktykami na styku obu światów. Często problem polega na tym, że każda ze stron zajmuje się swoim obszarem i nie spotykamy się na terenie wspólnym dla obu. A ważne byłoby właśnie to, co wydarzyłoby się na styku. Powstają rozwiązania, które modelowo wyglądają dobrze, ale ze względu na różne ograniczenia organizacyjne nie za bardzo wiadomo, jak je wdrożyć. Niewiele zdziała badacz, który nie zna legislacji oświatowej i nie ma świadomości, jakie są realia działania, postawy uczniów czy rodziców oraz inne uwarunkowania. Ta wiedza jest konieczna, jeżeli chce się, aby wypracowywane diagnozy miały przełożenie na codzienność szkół i innych placówek oświatowych.

M.B.-U.: Oprócz poczucia braku przepływu wiedzy pomiędzy światem nauki a codziennością oświatową, spotykam się też z oczekiwaniami, aby podać listę elementów, które należy zmienić w najbliższym czasie w danej gminie, szkole czy klasie, żeby poprawiła się jakość edukacji. I to mają być bardzo konkretne zalecenia oparte na wynikach najnowszych badań naukowych. Czy tego typu oczekiwania są realistyczne? Czy możemy mówić o tym, że wyniki badań przeprowadzonych w pewnym określonym kontekście edukacyjnym, da się w prosty sposób przełożyć na odmienne realia?

J.P.: Na pewno nie da się ich łatwo przełożyć. Pamiętajmy też, że każda metoda naukowa ma swoje ograniczenia. Ponadto zawsze trzeba w krytyczny sposób podchodzić do wyników badań naukowych: badania są różnej jakości i różnie prowadzone. Co chwilę pojawiają się osoby – z sektora państwowego i pozarządowego – prezentujące jedynie słuszne, proste rozwiązania dla edukacji, które mają wiele zmienić, a zwykle nic z tego nie wynika. Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że w edukacji nie wszędzie działa to samo. Jeżeli polecamy jakieś konkretne rozwiązanie, to trzeba się zastanowić, czy ono sprawdzi się zarówno w szkole funkcjonującej w środowisku o wysokim statusie społeczno-ekonomicznym, jak i w szkole, która pracuje w zupełnie innym otoczeniu. Zwykle – nie będzie działać tak samo. Spotkamy się z zupełnie innym poziomem gotowości uczniów i ich rodziców. Są rozwiązania dydaktyczne, które już na wejściu wymagają pewnego poziomu kapitału społecznego uczniów. W przypadku braku tego kapitału, trzeba byłoby mieć pomysł na stopniowe dochodzenie do zamierzonych rezultatów.

Zrobiło się sporo zamieszania z badaniami edukacyjnymi. W tej chwili właściwie każdy robi badania – niezależnie od tego, czy umie to robić, czy nie. Wielu osobom wydaje się proste przeprowadzenie badań ilościowych i jakościowych, a tymczasem na pierwszy rzut oka widać, że nie wiedzą, jak się dobiera próbę, jak się konstruuje narzędzia itp. Co im zupełnie nie przeszkadza w pozyskiwaniu danych, a potem nagłaśnianiu uzyskanych wyników. Jednak ze względu na sposób dochodzenia do rezultatów, to co prezentują, jest zupełnie nietrafione. A mylna diagnoza prowadzi do podejmowania bezsensownych działań. Praktycy edukacyjni mogą być zagubieni w związku z ciągłym pojawianiem się wyników różnych rodzajów badań czy wystąpieniami osób, które uzasadniają swoje tezy albo

proponowane rozwiązania rezultatami różnych projektów badawczych. Jako odbiorcy tych komunikatów powinniśmy mieć dużą wiedzę na temat metodologii badań, aby być w stanie powiedzieć: w to wierzę, w to nie wierzę, a w to – częściowo wierzę. Jednak oczekiwanie posiadania takich kompetencji od wszystkich jest nierealistyczne.

M.B.-U.: No właśnie, co pewien czas upubliczniane są wyniki badań naukowych, które wydają się dostarczać odpowiedzi na nurtujące nas pytania. Jednak szybko pojawiają się głosy polemiczne, wskazujące np. uchybienia metodologiczne przy realizacji badań czy formułowanie nieuprawnionych wniosków. Co Pan Profesor proponuje w tej sytuacji? Jak podchodzić do rezultatów badań edukacyjnych, aby nie pogubić się w tym całym zalewie informacji i zamieszaniu?

J.P.: Trzeba pamiętać, że nie ma badań idealnych. Znaczenie ma to, jak poważne są uchybienia. Powiem o kilku najczęstszych problemach. Na przykład ktoś stosuje bardzo nietypową próbę, zebraną poprzez linki na portalach społecznościowych. Otrzymuje informacje o jakichś proporcjach danych zjawisk i – co jest nieuprawnione – twierdzi, że tak wygląda sytuacja w polskiej szkole. A tymczasem w rzeczywistości najczęściej jest inaczej. W takich przypadkach trudno mówić o naukowości badania. Zdarza się, że dodatkowo mamy jeszcze do czynienia z nieumiejętnością konstruowania narzędzi badawczych albo interpretacji danych, które zostały pozyskane. Jeżeli na przykład zapytam respondentów, czy kiedykolwiek ktoś ich przezwiał w szkole, to na pewno otrzymam wysoki odsetek odpowiedzi twierdzących. Jednak nie mogę uznać, że to jest dowód na istnienie poważnego problemu rówieśniczej przemocy słownej w polskiej szkole. Dodatkowo, jeśli w tej sytuacji zapytałem 17-latkę, to on odniósł się do całej dekady swoich doświadczeń i być może jego odpowiedź dotyczyła jednostkowej sytuacji, która miała miejsce 5 lat wcześniej. Ale tak samo odpowiedziała też osoba, która codziennie doświadcza przemocy słownej ze strony rówieśników. Czyli dwóch młodych ludzi, którzy mają zupełnie inną sytuację, wybiera te samą odpowiedź i trafia do tej samej kategorii procentowej. Konia z rzędem temu, kto jest w stanie powiedzieć, ilu badanych doświadcza przemocy codziennie, a ilu zetknęło się z tym zjawiskiem tylko raz, kilka lat wcześniej.

M.B.-U.: Czasem mam wrażenie, że lektura wniosków z badania przynosi więcej pytań niż odpowiedzi...

J.P.: W badaniach ilościowych można uzyskać tylko to, co się w nie włożyło. Jeżeli wykorzystano dane uzyskane na niereprezentatywnej grupie, a chce się wypowiadać o całościowej sytuacji, to jest to nieuprawnione. A jeżeli jeszcze dane pozyskano narzędziami wątpliwej jakości... Nie da się wyciągnąć nic dobrego z takich badań, bo niczego dobrego się tam nie włożyło. A tymczasem ich autorzy robią piękne, kolorowe wykresy i infografiki, do pokazywania gdzie się da w Internecie. Problem polega

na tym, że aby umieć ocenić jakość takiego materiału, trzeba się choć trochę znać na metodologii badań. Ponieważ przeciętny odbiorca nie ma tej wiedzy, warto aby zapoznał się z kulturalnie napisanymi głosami polemicznymi osób, które znają się na omawianym zagadnieniu. Chociaż dyskusja bywa emocjonalna, to jest potrzebna. Obserwuję pewien niebezpieczny trend: autorzy badań dotyczących ważnych zagadnień oczekują immunitetu na krytykę. Uzasadniają to tym, że podważanie wyników niszczy zainteresowanie problemem. Poddawanie w wątpliwość jakości badania jest odbierane jako zamach na ważną misję. Tymczasem potrzebujemy dyskusji. Oczywiście polemika zawsze powinna być prowadzona z szacunkiem i z możliwością prezentacji racji wszystkich stron. Ale też nie powinniśmy ulegać moralnemu szantażowi. W przypadku spraw istotnych społecznie trzeba szczególnie zadbać o jakość diagnozy. Powiedziałbym, że im ważniejszy problem, tym większą wagę powinniśmy przykładać do jakości metodologicznej jego diagnozy.

Musimy zachować krytycyzm wobec różnego rodzaju komunikatów, mówiących że jest jakoś i w związku z tym musimy robić coś. Tego powinna też uczyć szkoła: krytycyzmu wobec danych oraz źródeł informacji.

Kilkanaście lat temu doświadczyliśmy sytuacji, kiedy na podstawie pojedynczego incydentu próbowano zdiagnozować polską szkołę – mam na myśli złozenie nauczycielowi kosza na śmieci na głowę. Przez długi czas mówiono w mediach, że to jest typowe zachowanie uczniów, kosz na głowie stał się symbolem codzienności w naszych szkołach, co oczywiście nie odzwierciedlało prawdy. Przeprowadziłem wówczas duże badanie w województwie łódzkim, które objęło ponad 500 nauczycieli i pokazało, że tego typu sytuacje zdarzają się marginalnie. W badanej próbie 1 osoba raz doświadczyła sytuacji z przemocą fizyczną ze strony uczniów, zbliżonej do tej z koszem. Obraz medialny był zupełnie inny niż rzeczywistość, jednak wiele osób uznawało go za diagnozę sytuacji. Pamiętam, że jeden z samorządów za pieniądze na doskonalenie zawodowe nauczycieli organizował kursy samoobrony dla kadry pedagogicznej, aby potrafiła stawić czoła agresji fizycznej ze strony uczniów. Taki może być efekt rozdmuchiwania zjawiska, sprawiania, że dany problem wydaje się bardziej powszechny niż jest w rzeczywistości.

M.B.-U.: Tematem przewodnim tego numeru „Edukacji Pomorskiej” jest przeciwdziałanie dezinformacji. Czy w tym kontekście powinniśmy przyglądać się doniesieniom o wynikach badań edukacyjnych?

J.P.: Dezinformacja to pojęcie zarezerwowane dla sytuacji, kiedy nadawca nieprawdziwego komunikatu celowo wprowadza odbiorcę w błąd czy wzbudza w nim silne emocje. Tymczasem autorzy wątpliwej jakości badań są przekonani, że przekazują prawdę. Więc w tym kontekście byłbym skłonny mówić raczej o nieprawdzie oraz braku

TIK W SZKOLE

świadomości i krytycyzmu wobec własnych działań, a nie o dezinformacji.

M.B.-U.: A zatem jak odnosić się do wyników badań naukowych? Jakich wskazówek możemy udzielić nauczycielom, dyrektorom szkół czy samorządowcom podejmującym decyzje dot. oświaty?

J.P.: Przede wszystkim: nie działać od razu. Szczególnie, jeżeli wyniki są prezentowane w wyrazisty sposób, w otoczce sensacji. Począć, poczytać i posłuchać, co inni mówią na ten temat. Zapoznać się nie tylko z rezultatami, ale i z metodologią badania. Sprawdzić, czy autorzy sami nie wskazywali – bo powinni – jakie są ograniczenia ich wyników. Jeżeli trochę się na tym znamy, możemy wyrobić sobie własne zdanie. Zawsze też można skonsultować się z kimś, o kim wiemy, że się zna na metodologii badań. Przestrzegalbym przed podejściem w rodzaju: temat jest ważny, mamy jakieś pojedyncze wyniki i natychmiast działamy. Pamiętajmy, że pochopne działanie przynosi więcej szkód niż korzyści. Na przykład źle prowadzoną profilaktykę zachowań ryzykownych możemy zaszkodzić.

M.B.-U.: Bardzo dziękuję za rozmowę, Panie Profesorze.



prof. Jacek Pyżalski – pedagog specjalny; nauczyciel i wychowawca z wieloletnim doświadczeniem; profesor na Wydziale Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; uczestnik i koordynator ok. 60 krajowych oraz międzynarodowych projektów badawczych, głównie dotyczących funkcjonowania młodzieży (w tym uczenia się i zaangażowania społecznego), zaangażowania online młodych ludzi i ich kompetencji cyfrowych (w tym koordynacja polskiej części badań EU Kids Online oraz ySkills), a także kondycji psychicznej nauczycieli i ich kompetencji wychowawczych.

Apki w łapki i TabletOn

Katarzyna Drausal

Atrakcyjne zajęcia z wykorzystaniem nowych technologii, tabletów i ulubionych aplikacji uczniowskich przyciągają młodych ludzi do nauki języka angielskiego w Szkole Podstawowej nr 1 im. M. Kopernika w Bolszewie.

Nowoczesne technologie zawładnęły edukacją. Obecnie młodzi ludzie uczą się, wykorzystując różne strony internetowe, aplikacje oraz platformy. To bardzo ważne, aby pokazać im, jakie możliwości daje Internet, jak korzystać z jego zasobów i jak sprawić, aby był sprzymierzeńcem w procesie uczenia się. Dzięki takim zajęciom uczniowie rozwijają swoje kompetencje cyfrowe, ale również uczą się pracy w grupie. Poniżej opiszę dokładne założenia każdego z obu wspomnianych w tytule kół zainteresowań. Następnie przedstawię również moje ulubione aplikacje, który wykorzystujemy na zajęciach.

Apki w łapki

Na zajęcia uczęszczają uczniowie klasy IV, którzy przynoszą ze sobą naładowane smartfony. W każdym tygodniu wybieramy inną stronę czy aplikację, która ma pomóc w utrwaleniu przerobionego na lekcji słownictwa. Uczniowie zatem mogą powtórzyć ponownie treści, aby na dłużej je zapamiętać.

Na pierwszych zajęciach uczniowie stworzyli krótkie teksty o sobie z użyciem aplikacji DIKI. Następnie przygotowali swojego awatara, wykorzystując aplikację BITMOJI. Kolejne zajęcia rozpoczęliśmy od pracy z aplikacją WAKELET. Udostępniłam uczniom link do wspólnej kolekcji, gdzie mogli wklejać swoje wypowiedzi z poprzedniej lekcji. Wszystkie teksty widziałam w jednym miejscu, dlatego bardzo szybko mogłam przekazać uczniom informację zwrotną. Po poprawieniu ewentualnych błędów dzieci korzystały z czytnika immersyjnego wbudowanego w Wakelet, aby nauczyć się ładnie czytać. Czytnik ten pozwolił im rozpocząć naukę od bardzo wolnego

